

NIC TO

W najbliższy piątek, na długiej
przerwie w sali 31 Pierwsze
Szkolne Zawody w
Szydełkowaniu! Nie

Gazetka szkolna XII LO im. H. Sienkiewicza w Warszawie nr 7 (25.03.2008)

Monkey Chicago

Wszystko zaczęło się dokładnie rok i dziesięć miesięcy temu na lekcji biologii. Znudzony słuchaniem po raz "ęty" historii o wyginieciu kasztanowców czy rozmyślaniem nad beznadziejnością losów gąbki rurkowej, wpadłem na genialny pomysł. Odkryłem przed sobą możliwość wyjścia ze świata chipsów, gier komputerowych, nędznych wygłupów przed kamerą (czego wynikiem jest wyświetlony 800 tys. razy na youtube teledysk Bomba Bojs - Cały Twój) oraz koszykówki (w której z resztą zawsze byłem beznadziejny). Była to mianowicie wizja zespołu muzycznego, bycia w centrum uwagi, sławy, pieniędzy, czyli wszystkiego, co tak naprawdę składa się w jedno słowo - szczęście. Dlatego też, nie czekając na sygnał z niebios czy inny znak od przeznaczenia, od razu spytałem mojego przyjaciela Kubę W., czy nie chciałby kupić perkusji i zostać członkiem mojego, nowo powstającego zespołu (zaznaczam, że nie był to Kuba Wojewódzki;], co więcej - chłopak kompletnie nie znał się na "bębnach"; nie jestem nawet pewien, czy kiedykolwiek wcześniej widział owy instrument). Jakub przedstawił pomysł rodzicom i już miesiąc później na urodziny "tłukł" w domu na własnym zestawie. Zanim jednak do tego doszło, zaangażowałem mojego starego przyjaciela, jeszcze z czasów, kiedy po raz pierwszy przyjechałem do Polski- Filipa "Vifona", aby grał na gitarze. Tak się złożyło, że już parę miesięcy ćwiczył na tym instrumencie, także miał pojęcie o grze, szcztatkowe, ale miał. Po paru miesiącach dłubania w nosie oraz nędznych prób, które sprowadzały się do mojego załosnego wycia, rzępolenia Vifona oraz krzywych jak wieża w Pizie beatów Kuby, dołączył do nas nasz przyjaciel Woyda. Nie miał pojęcia o grze na basie, a swoją gitarę kupił tylko po to, aby zostać pełnoprawnym członkiem zespołu, którego nazwę wybraliśmy spośród wielu idiotycznych, na przykład: Tornado Falls, Tongo Bobo, Piggy Fox, Baba Boa Boys, Funk Fatal.

W czasie następnych pięciu miesięcy Monkey Chicago skupiło się głównie na improwizowaniu własnych kompozycji i nieudanych coverach. Wynikało to głównie z tego, że każdy z nas dopiero uczył się jako tako grać na przydzielonym instrumencie, w moim przypadku dwóch - gitara oraz wokale.

Przełom nastąpił w marcu 2007 roku, w którym zaaranżowaliśmy pierwsze dwa utwory muzyczne. Szczęście i duma emanowały z nas, bo wreszcie udało się stworzyć coś własnego. Następne miesiące minęły w pełnym skupieniu i pracy. Każdy tekst, każda piosenka (a wszystkie komponowane są przeze mnie z pomocą genialnych pomysłów Filipa) zanim zagrana, najpierw zostawała zapisana w "nutach". Najważniejszą datą dla całego zespołu jest 18 listopada 2007.

W tym dniu, w Klubie Remont, odbył się nasz pierwszy koncert. Było to niezwykle energetyczne spotkanie z publicznością, która pojawiła się w naprawdę dużej liczbie, zapewniając trzy czwarte klubu. Myślę, że jeśli komuś nie spodobała się muzyka, to na pewno był pod wrażeniem klimatu. Później przyszedł czas na występ na Grudniowym Akademickim Przeglądzie Artystycznym oraz koncert w Klubie Pretekst - jak było, większość wie — CHO... zimno. Gra w temperaturze minus 5 stopni nie należy do najprzyjemniejszych, co dopiero mówić o staniu przed sceną. Tak czy inaczej, leżąc dzień później z rozpalonym czołem, stwierdziłem, że znów daliśmy "czadu".

W chwili obecnej mamy małą przerwę, spowodowaną pełną zmianą repertuaru, modyfikacją stylu oraz komplikacjami, jaką jest szkoła i poprawianie ocen. Nie będąc obecnymi na scenie, jesteśmy obecni w internecie. Doszliśmy do finału konkursu organizowanego przez fińską firmę Nokia - Studio Garaż. Czy są to początki wielkiej sławy, czy niebawem znajdziemy się na pierwszej stronie Pudelka? Wiem jedno: we're having fun...:)

Moja pasja

Pierwszego dnia szkoły we wrześniu, poznałam swoją nauczycielkę i pierwszy raz zobaczyłam, jak wygląda harfa. Jest to duży instrument o charakterystycznym pięknym kształcie. Kolumna ma około 170 cm. Ma czterdzieści sześć strun oraz siedem pedałów, z których każdy pełni ważną funkcję podwyższania bądź obniżania dźwięków o pół tonu. Nadal nie byłam przekonana. Dodatkowych wątpliwości przysporzyły mi informacje o obowiązkowych zajęciach w tygodniu: chór, zasady muzyki, kształcenie słuchu, literatura muzyki, lekcje z instrumentu, fortepian... i dodatkowo muszę przyjeżdżać na ćwiczenia, bo harfy w domu przecież nie mam. Ciekawiło mnie, czy kiedykolwiek będę ją miała. Od tamtej pory minęło już prawie sześć lat. Obecnie uczę się w średniej szkole muzycznej imienia J. Elsnera przy ulicy Miodowej. Jestem tam codziennie po nauce w naszym LO im. Sienkiewicza.

Życie ucznia szkoły muzycznej jest bardzo stresujące. Na koniec każdego semestru jest obowiązkowy egzamin, na którym trzeba zagrać swój repertuar. Wszystkie utwory trzeba znać na pamięć. W pomieszczeniu tylko Ty, instrument i bezwzględna komisja, która patrzy Ci na ręce i wypatruje błędów. Gdy zagrają już wszyscy z klasy, egzaminatorzy naradzają się i przyznają oceny. Każdemu znane są również audycje. Są to mini koncerty szkolne, zazwyczaj w sali koncertowej. Scena, publiczność, parę utworów popisowych. Do tego dochodzą różne przesłuchania, koncerty doroczne np. w Akademii Muzycznej, gdzie stres potęguje, o wiele większa od szkolnej, scena i publiczność.

Osobiście przechodziłam te wszystkie „tortury”. W Akademii Muzycznej, w roku swojego dyplomu szkoły podstawowej, grałam na koncercie dorocznym partię przewodzącą w zespole pięciu harf!

Chodząc do takiej szkoły, można poznać wielu wspaniałych ludzi. Na przedmioty tj. kształcenie słuchu i zasady muzyki, uczęszcza się z inną grupą osób niż na literaturę muzyki, jeszcze w innej na chór... plus klasa instrumentu, którą zna się doskonale.

Od początku roku mam w domu wypożyczoną harfę. Dzięki temu nie męczę się z codziennymi wizytami w sali 79 po zakończeniu zajęć. Niestety, przyszłym roku wszystko wróci do normy, bo harfę mam tylko do wakacji. Tym czasem delektuje się każdym dniem posiadania jej. Mimo że tydzień mam wypełniony po brzegi zajęciami, znajduję czas dla siebie, znajomych, na rozrywkę i naukę. Cieszę się, że spotkało mnie takie szczęście i mogę uczyć się tak cudownego kunsztu gry na harfie.

Karolina Roszczyk

HOBBY?

Pewien dialog usłyszany kiedyś na ulicy:

- Czym się interesujesz?

- No... Lubię chodzić do kina, chodzić na zakupy... A! No i oczywiście muzykę i taniec!

Doprawdy? Cóż za oryginalne młodzieżowe zainteresowania! Ma je zaledwie połowa młodych ludzi. Ale ile tak naprawdę jest prawdziwego zainteresowania w Twoim "hobby"? Jak powiadają, „diabeł tkwi w szczegółach”, więc pora przypatrzeć się temu z bliska.

Czym zajmuje się (albo raczej - czym powinna się zajmować) osoba, która interesuje się kinem? Z mojego punktu widzenia to wygląda tak: w wolnej chwili ogląda stare dobre klasyki filmowe, co miesiąc biegnie do sklepu po nową gazetę o tej tematyce, śledzi najnowsze premiery, udziela się na forach, chodzi na festiwale filmowe itp. itd. Słowem - orientuje się doskonale w tej dziedzinie, a jak ją spytasz, kto dostał Oscara za najlepszy film w tym roku, odpowie Ci bez wahania, dodając oczywiście osobistą recenzję tego filmu. Niestety, takich ludzi to ze świecą szukać. W większości całe zainteresowanie kinematografią w praktyce ogranicza się do chodzenia do multipleksów na najnowsze premiery filmów, które są znane tylko z tego,.... że są znane! I nie ważne, że jest to tegoroczny kandydat do Złotych Malin (dla niezorientowanych wyjaśniam, że to słynna nagroda za największy kicz). Istotna jest tylko ilość kolorowych plakatów i trailerów w kablówce. Zresztą nie ważna jest treść filmu, bo chodzi oto, żeby spotkać się z przyjaciółką, zjeść popcorn i móc spokojnie poplotkować (co z tego, że wszyscy inni widzowie dowiadują się wtedy, „co On zrobił Jej”, zamiast w spokoju obejrzeć film)! Drugą alternatywą są też randki. W tym wypadku najlepiej obejrzeć Najnowszy Romantyczny Kit z Gwiazdorską Obsadą z serii "Tylko mnie kochaj!" (ach! Zakościelny, ach! Stenka), by w aurze filmowej miłości ścisnąć się ze swym ukochanym/ukochaną.

I gdzie w tym wszystkim choć odrobina zainteresowania filmami? Widziałeś chociaż jakiś stary czarno-biały klasyk? Oczywiście że nie, bo takie są złe z zasady, bo są stare, efektów specjalnych brak, ścieżki dźwiękowe nierówne, aktorzy sztywni – to przecież musi być beznadziejne! Ale nie bądźmy tacy surowi - przecież istnieją jeszcze seriale! A te przecież niektórzy znają na wylot. Można by je wymieniać bez końca, a oglądać jeszcze dłużej. Niby nie czytają gazet i nie orientują się w nowościach? Orientują, a jakże! Doskonale wiedzą, która pseudo-gwiazda co sobie powiększyła, kiedy i po co. Strona pudelek.pl jest jak Biblia, którą codziennie przegląda się i czyta, by być na czasie i pogłębiać swoje wielkie zainteresowanie kinematografią. Ja bym jednak lekko polemizowała i żądała zmiany wyrażenia "moje hobby to filmy" na "moim hobby są życie osobiste i skandale wywołane przez osoby grające w tych filmach"!

O chodzeniu na zakupy raczej nie będę się rozpisywać, bo trochę żal papieru i tuszu. To raczej nie hobby, lecz Sposób Zabijania Nudy Gdy Ma Się Za Dużo Wolnego Czasu I Pieniędzy I Za Mało Pomysłów Na Ciekawe Ich Zagospodarowanie. No cóż, jeśli ktoś lubi, to proszę bardzo, ja dziękuję.

Hmm... ciężka sprawa, kino odpadło, zakupy także. Jest jeszcze muzyka! Fakt, można to wziąć pod uwagę pod warunkiem, że do wyrażenia „zainteresowanie muzyką” zaliczymy po prostu jej słuchanie na mp3, wieczne chodzenie ze słuchawkami w uszach, na koncerty (okazjonalnie) i dyskoteki. No po prostu, specjalista nie z tej ziemi. Wręcz fanatyk. No to może pora na mały quiz?

- Kto skomponował „Wesele Figara”?
- Yyy... Szopen?
- Niestety, nie. A co to jest kamerton?
- Jakiś rodzaj smyczka?
- Blisko, ale nie bardzo. A chociaż nuty znasz?
- To te czarne kropki?
- W rzeczy samej, a kto śpiewa „Umbrella”?
- No jasne, że Rihanna!

BRAWO! Oto nasz zwycięzca! Publiczność jest oczarowana poziomem wiedzy z dziedziny muzyki! Na koniec pora na podziękowania dla wspaniałego i niepowtarzalnego programu MTV, bez którego nasz bohater nie osiągnąłby takiego sukcesu! A teraz żegnamy się z Państwem, bo czas na kolejne pseudo- hobby, czyli taniec!

A to jest już fenomen. Odkąd w telewizorach pojawiły się „Taniec z gwiazdami” i „You can dance” poziom zainteresowania tym sportem wzrósł niewyobrażalnie. Tysiące młodych dziewcząt (głównie) ruszyło tłumnie zapisywać się na wszelkie taneczne zajęcia, bo to przecież taka moda i szpan. Poza tym poprawia kondycję i figurę i potem na dyskotecce można pokazać swoje zadziwiające umiejętności tak, by koleżankom opadły szczęki. Cóż za gracia, cóż za styl! A na dodatek są takie oryginalne! No cóż, powiem wprost – nie, nie są! Teraz tańczy ponad połowa młodych ludzi, pan Egurrola się bogaci, a ja wśród tylu znajomych jedynie o jednej mogę powiedzieć, że „ona się naprawdę interesuję tym, co robi”! Czemu? Bo ona tym tańcem żyje, a nie idzie na fali mody wykreowanej przez TVN.

Bo tak naprawdę oto chodzi – jeśli masz jakieś hobby, to poświęcasz mu swój czas. Ja mam dwie pasje i ciężko mi je pogodzić ze sobą i jeszcze z nauką. Dlatego bardzo się dziwię tym, którzy uważają, że mają ich jakieś 15! To albo są wybitnie zorganizowani i nie potrzebują snu (może to kosmici?), albo po prostu TROSZKĘ przesadzają. Osobiście obstawiam przy tym drugim, chociaż kto wie...

Wszyscy, których oświecił nieco ten artykuł i uświadomił, że jego hobby wcale nim tak naprawdę nie jest - nie załamujcie się! Na świecie jest mnóstwo innych możliwości! Także... nie idźcie do kąta i nie tnijcie się różowymi żyletkami, wyklinając kino, taniec, ludzi i ten felieton, tylko zacznijcie szukać nowych dziedzin, które Was zainteresują naprawdę i którym będziecie mogli poświęcać czas. Dla ułatwienia podaję listę kilku, które wpadły mi do głowy i nie wymagają wielu kosztownych środków:

1. Rzucanie zwiniętych skarpetek do kosza.
2. Zabawa z myszką od komputera w chowanego.
3. Długie rozmowy na temat ekspansji wszechświata z mikrofalówką.
4. Zgłębianie wiedzy na temat wpływu księżycy na dorożkarstwo w Niemczech.
5. Wyścigi w pleceniu warkoczyków z domowym mopem - na czas.
6. Bicie rekordu Guinnessa w największej ilości opowiedzianych kawałów o pączkach. (osobiście znam 10)!

KANGUR

Na początku trzeba wyjaśnić, czym właściwie jest RPG

RPG powstało w 1974 roku. Pierwszym systemem był „Dangerous and Dragons” autorstwa Gary’ego Gygax’a. Został on wydrukowany w liczbie tysiąca sztuk. W Polsce z racji tego, że był to „wynalazek imperialistycznego zachodu”, pierwsze gry pojawiły się dopiero po upadku komunizmu.

Na początku trzeba wyjaśnić, czym właściwie jest RPG. Jest to skrót od angielskiego wyrażenia *role-playing game* znaczącego w wolnym przekładzie Gra Fabularna lub Gra Wyobraźni. Cała zabawa polega na wcielaniu się w stworzonych przez siebie bohaterów i odtwarzanie ich zachowań w sytuacjach przedstawionych przez Mistrza Gry (MG). Do obowiązków MG należy opisywanie graczom, otaczającego ich bohaterów, świata, ustalanie rezultatu wszystkich spornych sytuacji (np. wspinaczki czy walki z przeciwnikiem) i wcielanie się we wszystkie postacie napotkane w grze (są to tzw. bohaterowie niezależni).

Obecnie w Polsce można znaleźć podręczniki do kilkunastu systemów (system – realia, w których toczy się akcja gry). Jest w czym wybierać! Począwszy od średniowiecznego „Dangerous and Dragons”, przez renesansowego „Warhammera” na futurystycznym „Cyberpunku” skończywszy. Wszystkie one diametralnie różnią się od siebie klimatem, mechaniką i stopniem podobieństwa do naszego świata.

Jak wygląda sama gra, nazywana w żargonie RPG’owców sesją? Otóż, prowadzący nią zacznie grę musi wcześniej się odpowiednio przygotować. Po pierwsze powinien kupić i przeczytać podręcznik (zwykle jest to 200-300 stronicowa książka formatu A4) do jednego z systemów, zrozumieć i bez problemu stosować w praktyce mechanikę gry. Oprócz tego musi wymyślić lub kupić przygodę i wreszcie- zebrać graczy. Dopiero wtedy można pomyśleć o znalezieniu odpowiedniego miejsca do gry. Początkowo wystarczy zapewne ławeczka pod blokiem. Z czasem każdy Mistrz Gry dojdzie do wniosku, że najlepszą lokalizacją jest czyjś dom, a dokładniej pokój. Można w nim przeprowadzić kilka zmian, które sprawią, że błyskawicznie poczuje się klimat wyprawy do dawno zapomnianych podziemi czy odkrywania tajemnicy opuszczonego dworu. Wystarczy np. puścić w trakcie sesji muzykę dopasowaną do przygody, zapalić świeczki zapachowe, zasłonić okna, przynieść coś do jedzenia i picia, wykonać rekwizyty (np. nadpalony list znaleziony przez bohaterów). Możliwości są nieograniczone!

Gdy gra już się rozpocznie, zwykle przebiega w podobny sposób. MG zaczyna opowieść, zarysowując plan wydarzeń. Następnie gracze mówią, co robią ich postacie, a MG dostosowuje dalszy przebieg akcji do ich działań. Charakterystyczną cechą gier RPG jest to, iż gracze wypowiadają się w pierwszej osobie liczby pojedynczej. Nie powinno się usłyszeć: „No to mój Henry, wygląda za róg.” tylko „Wyglądam za róg”. Zwykle sesja trwa kilka godzin.

Granie w RPG ma wiele zalet. Można podszlifować swoje umiejętności aktorskie, przełamać nieśmiałość (przecież o wiele prościej jest rzucić jakąś beczelną i dwuznaczną uwagę do przedstawicielki płci pięknej ustami wykreowanego przez siebie Caldura czy Perima). Ale przede wszystkim chodzi o to, żeby dobrze się bawić!

Dawid Gawalkiewicz

nicto12@gazeta.pl
malgorzataposel@gazeta.pl

Dziękujemy wszystkim, którzy przyczynili się do powstania gazetki, a szczególnie Dawidowi, gdyż stał się inicjatorem tematu przewodniego niniejszego numeru.

Myślą przewodnią kolejnego będzie : *Mój nauczyciel, mój mistrz.*

Czekamy na artykuły, w których przedstawicie swoich duchowych przewodników;

osoby, uważane przez Was za autorytety, wzory, mentorów.

Mogą to być postaci znane i nieznanne, współczesne i historyczne.

Ważne jest, co Wy zyskujecie dzięki ich obecności w swoim życiu.

REDAKCJA